Na ścianach wiszą pamiątkowe gitary i niezliczone czarnobiałe zdjęcia. Przy stolikach siedzą pary o siwiejących włosach, a kelnerka raz po raz przemyka między nimi niosąc tacę z napojami wyskokowymi. Porusza się szybko, energicznie, nawet nie patrzy pod nogi.

Nagle ze stojącego tłumu ktoś szturcha ją w ramię, chcąc złożyć zamówienie. Zaraz się potknie, butelki i kieliszki polecą na podłogę, ale nie, młoda dziewczyna uśmiecha się tylko, kiwa głową i dzielnie maszeruje dalej. W powietrzu unoszą się szepty rozmów, ktoś przechwala się swoją wiedzą i wyszukanym smakiem, ktoś inny narzeka na zbyt duży tłok. Na scenie Buddy Guy dostraja gitarę, za chwilę zacznie grać kolejny utwór. Z widowni dobiega czyjś męski głos.

– Byłem na twoim koncercie w 68. Ale dawałeś czadu.

Muzyk spogląda na niego i mierzy surowym wzrokiem.

– W 68? To ile ty do cholery myślisz, że ja mam lat? Słuchaj jak opowiadam. Koncert dałem w 72.

Zapada cisza. I nagle Buddy Guy uśmiecha się spod kapelusza, a jeden z jego złotych zębów błyszczy w świetle lamp skupionych na scenie.

– Tylko sobie z ciebie żartuję. Ludzie, uwielbiam tego człowieka. To swój gość.

Poprawia zamszowe ogrodniczki i znów zaczyna grać, a gitara basowa i fortepian z trudem nadążają za tempem narzuconym przez tego weterana muzyki.

Jest mroźny czwartkowy wieczór. Na zewnątrz minus 10 stopni Celsjusza, wieje wiatr. W Chicago, położonym nad jeziorem Michigan, to jakby o dwadzieścia stopni mniej, na ulicach nie widać żywej duszy. Prognozy zapowiadały burzę śnieżną.

Czarne Metropolis

Blues to specyficzna muzyka. Nie narodził się w garażu, w szkole, czy w umyśle jakiegoś artysty na akademii muzycznej. Jego początków można doszukiwać się na południu Stanów Zjednoczonych XIX wieku, na olbrzymich plantacjach bawełny i tytoniu. Tam, miliony niewolników uprawiając ziemię przekazywały sobie zaszyfrowane wiadomości w formie przeciągłych śpiewów. *U Ruth urodziło się dziecko. Chłopak*, zaczynał jeden kraniec pola i po jakimś czasie wiedziała o tym cała plantacja, a nawet i okoliczne wsie. Śpiew wznosił się ponad wszelkie podziały, bo choć niewolnicy byli z różnych stron Afryki, i z początku nie mówili nawet w tym samym języku, tworzyli więzi, dodawali sobie otuchy i nadziei.

W połowie wieku, gdy po Wojnie Secesyjnej, Prezydent Abraham Lincoln podpisał dekret o zniesieniu niewolnictwa, miliony czarnoskórych Amerykanów uzyskały wolność.

Plantacje bankrutowały, bo nie stać ich nie było na płacenie robotnikom, na których nagle nie wystarczał bat i kajdany, a którzy chcieli być traktowani z godnością, jak ludzie. Nowe życie stawiało nowe wyzwania. Młodzi mężczyźni zabierali harmonijkę, czy gitarę i ruszali w drogę, grając od wsi do wsi, od

miasta do miasta. Często nie mieli nawet formalnego wykształcenia, grali jak umieli, jedni lepiej, inni gorzej, lecz z czasem ich muzyka, wtedy jeszcze bez nazwy, zaczęła nabierać kształtów.

Północ Stanów Zjednoczonych, a w szczególności duże metropolie takie jak Nowy Jork, Filadelfia, czy Chicago, malowały się im jako miejsca pełne swobody. W pierwszych dekadach XX wieku, do Chicago, gdzie rozkwitał przemysł i urbanizacja, zaczęły napływać tabory murzynów zachęconych perspektywą lepszej pracy i ucieczką z plantacji, które wciąż przypominały im o brutalnej przeszłości. Liczba czarnoskórych mieszkańców miasta urosła z trzydziestu tysięcy na początku stulecia, do dwustu pięćdziesięciu w połowie lat trzydziestych.

Osiadali w południowej części miasta, w dzielnicy zwanej Bronzeville, bo dalej na północ już im nie pozwalano. Powstawały bowiem przepisy, które zakazywały murzynom osiedlania w dzielnicach białych, a irlandzkie gangi, do których należał między innymi późniejszy burmistrz Chicago, Richard J. Daley, patrolowały ulice, uzbrojone w pałki i pistolety. Mit o przyjaznym mieście liberalnej północy prysł stosunkowo szybko.

Ale to właśnie tutaj, pośród mroźnych ulic, były niewolnik nagle stawał się obywatelem, choć nie do końca pełnoprawnym, i co najważniejsze, człowiekiem. Miał pracę, dom, rodzinę i dzieci. Ciężko pracował na długie zmiany w hutach i fabrykach, a po pracy, zmęczony i brudny, szedł do baru, napić się piwa i posłuchać muzyki.

Na scenę mógł wejść praktycznie każdy i śpiewać o czym mu się żywnie podobało. *Jestem tylko biednym chłopakiem ze wsi. Teraz trafiłem do miasta i nie wiem co ze sobą zrobić.* Śpiewano o miłości, tęsknocie i o wolności.

Wtedy narodziła się odmiana bluesa, która na zawsze zmieniła oblicze muzyki na całym świecie, i dała początek muzyce gospel, a później funk i soul, ale olbrzymi wpływ miała tak naprawdę też na rock and roll i jazz. Do gitar podpięto wzmacniacze i głośniki, dodano gitarę basową i pianino. Z improwizowanej muzyki śpiewanej na plantacjach, blues stawał się bardziej profesjonalny i zorganizowany. Od tej pory był też sposobem na życie.

Na każdym rogu, jak grzyby po deszczu, wyrastały nowe kluby. Wielu muzyków po latach opowiadało jak to całymi nocami szwendali się po mieście, i czasem nie trafiali do domu aż do świtu, bo po drodze zahaczali o każdą możliwą knajpę, gdzie z otwartych drzwi roznosiła się na ulicę głośna muzyka. Wtedy jeszcze wstęp do lokali był wolny. Do środka mógł wejść nawet bezdomny żebrak.

W Chicago tworzył się nowy ruch kulturowy. W dzielnicy, do której bał się zapuszczać biały człowiek, rosła w siłę sztuka, wyjątkowa w swojej treści i przesłaniu. Obok muzyki pisano też wiersze i opowiadania, powstawały nowe idee polityczne. Gdy w nowojorskim Harlem istniał już znany na cały świat murzyński ośrodek twórczości literackiej i ruchu intelektualnego, na południu Chicago rodziło się Czarne Metropolis.

Tu powstawały czarnoskóre banki, apteki, sklepy i teatry, kwitł przemysł. Bronzeville nazywane było stolicą czarnej Ameryki. Zjeżdżali muzycy, którzy nie mogli wybić się na rynku zdominowanym przez białych artystów. Amatorzy grali na ulicy i w parkach, a ci już uznani w klubach i tawernach, których było więcej niż domów mieszkalnych. Światła lokali nie gasły przez całą noc. Ludzie bawili się, pili, tańczyli i śpiewali. Muzyka była nierozłączną częścią życia dzielnicy.

Za pioniera bluesa chicagowskiego uważa się Muddy Waters'a. Pochodził z Rolling Fork, w stanie Missisipi, ale to właśnie w wietrznym mieście, w Bronzeville, stał się znany szerszej publiczności. Zawsze grywał przy akompaniamencie pianina, gitary basowej, perkusji i harmonijki, ale tworzyły one tylko tło dla jego głosu.

W połowie lat czterdziestych Waters podpisał profesjonalny kontrakt z wytwórnią Chess Records, założoną przez pochodzących z Polski braci Leonard i Phil Chess, naprawdę nazywających się Lejzor i Fiszel Czyż, i wypuścił takie hity jak *Rollin' Stone*, *I Can't Be Satisfied*, czy *I Feel Like Going Home*.

– Ludzie z zewnątrz, a nawet instytuty społeczne i uniwersytety, nie mogli się nadziwić, że skazane na niepowodzenie murzyńskie getto rozkwita. Bronzeville rosło i rosło. Mimo przeciwności losu, życie miało tu posmak normalności.

Pat Fox, kustoszka niewielkiego muzeum mieszczącego się w Bronzeville, na pierwszym piętrze zabytkowej kamienicy, na rogu 35-tej i Alei Martina Luthera Kinga, poświęciła całe swoje życie historii tej dzielnicy. Do skromnej kolekcji, którą się opiekuje, należy kilkadziesiąt czarnobiałych zdjęć, obrazów, mosiężne figurki i miniatury z brązu. Gdy opowiada o dziejach Bronzeville, czasem się plącze i gubi myśl. Wydaje się być czymś rozproszona i co chwila przeprasza za swoje potknięcia. W zimie nie przychodzi tu zbyt wielu gości.

– Choć piękny, ten sen nie mógł jednak trwać wiecznie.

W 1958, Muddy Waters wyjechał w trasę koncertową do Wielkiej Brytanii. Tam zaszokował publiczność, która do tej pory blues utożsamiała z melodią folkową, a nie ciężkim brzmieniem gitary elektrycznej i szybkiego tempa. Niedługo później, do Bronzeville zaczęli napływać brytyjscy muzycy. Zafascynowani bluesem, potrafili godzinami wsłuchiwać się w grę na gitarze, analizując i kopiując chwyty, a chicagowscy bluesmani z chęcią służyli im za nauczycieli.

– Bez bluesa z Bronzeville, nie byłoby The Rolling Stones, czy Erica Claptona, a pewnie i Beatlesów. Stąd wywodzi się ich styl, to tu uczyli się swojego fachu – mówi Fox.

Na świecie zapanowała moda na tę muzykę, a artyści z Bronzeville przez noc stali się gwiazdami. Muddy Waters nie był już sam. Pojawiły się pieniądze, trasy koncertowe i profesjonalne kontrakty, a wraz z nimi kolejne wytwórnie płytowe i zastępy profesjonalnych bluesmanów. Biali mieszkańcy Chicago nagle zapragnęli słuchać ich gry, ale wciąż nie chcieli zapuszczać się do południowej części miasta.

– Bronzeville stało się za ciasne. Lokalni bluesmani byli co raz częściej zapraszani do innych dzielnic i miast, i skuszeni zarobkiem, a czemu by im się dziwić, zostawiali za sobą miejsca gdzie uczyli się bluesa.

Przez lata odizolowywani, mieszkańcy Bronzeville nagle urośli w oczach reszty miasta. Jednak to co starali się osiągnąć z tak wielkim trudem, okazało się początkiem końca Czarnego Metropolis.

– Wkrótce nastąpiła odwilż polityczna. Wygasły restrykcyjne przepisy miejskie. Ludzie nie musieli już tu mieszkać, przeprowadzali się gdzie indziej, wyjeżdżali. Upadek Bronzeville nastąpił gwałtownie. Gdy byłam małą dziewczynką, gdzie bym nie spojrzała, stał jakiś klub. Nawet mój tato był muzykiem. A dziś nie ma już nic. W pewnym sensie Bronzeville zabił jej własny sukces.

Przez następne dekady wiele się zmieniło. Co prawda Chicago nadal jest najbardziej podzieloną rasowo metropolią w Ameryce, ale blues stał się muzyką całego miasta. "Home of the Blues," wieszczą przewodniki książkowe na pierwszych stronach. Na północy, w bogatszych dzielnicach, kluby co wieczór zapychają się po brzegi, a turyści odwiedzający te miejsca przynoszą miastu milionowe zyski. Co roku odbywa się też festiwal poświęcony bluesowi i jego dziedzictwu, na który zjeżdżają się artyści z całego świata. Blues wciąż trzyma się mocno, głoszą artykuły w gazetach.

Tylko jedno miejsce nic na tym nie zyskało.

Bronzeville

Dziś Bronzeville, miejsce narodzin chicagowskiego bluesa, gdzie swoją wielką karierę rozpoczynał Muddy Waters, a takie sławy jak Howlin' Wolf czy Jimmy Reed święcili największe sukcesy, niczym nie przypomina tamtych czasów. Puste place znaczą miejsca gdzie kiedyś mieściły się kluby, trawa, pożółkła i przesuszona, rośnie na wysokość ramion, a z budynków z zabitymi oknami i drzwiami odpada tynk i dachówka. Zamiast muzyki, pełno jest tu pustych butelek po piwie i rozerwanych toreb na śmieci. Młodzi ludzie szwendają się bez celu po ulicach, a żebraka można spotkać na każdym rogu.

Z niezliczonych klubów z połowy zeszłego stulecia, nie ostał się żaden. Od dawna nie ma już Silvio's, Gatewood's Tavern, czy The Flame Club, gdzie dniami i nocami grywały pierwsze pokolenia bluesmanów, a Checkerboard Lounge, znany z występów między innymi The Rolling Stones, został zamknięty w 2003 roku, po wizycie inspektora budowlanego, który uznał, że budynek w którym mieścił klub, nie nadaje się do użytku.

Gdy kilka lat temu brytyjski komik Stephen Fry odwiedził Chicago przy okazji kręcenia kolejnego odcinka serialu Stephen Fry w Ameryce, spotkał się z Buddy Guy'em, jednym z najstarszych muzyków bluesowych, i obaj wybrali się na krótką przejażdżkę po Bronzeville. W jednym z ujęć, gdy tak jadą sobie londyńską taksówką, Guy opowiada jak to w młodości biegał z gitarą z jednego końca ulicy na drugi i wsłuchiwał się w dolatujące z zewsząd echa muzyki. *Tam pierwszy raz ukradziono mi gitarę,* śmiejąc się pokazuje na zarośniętą parcelę. *A teraz nie ma tu absolutnie nic.*

Wasteland, wtóruje mu Fry. *Pustkowia*.

Z końcem lat 50, z Bronzeville nastąpił masowy exodus. Ponad trzy czwarte społeczności wyprowadziło się do innych części miasta. Dziś, tym którzy zostali wcale nie wiedzie się lepiej. Choć bezrobocie mieści się w granicach dziesięciu procent, prawie połowa mieszkańców żyje na skraju ubóstwa. Przestępczość jest tu rekordowa, lokalne władze bezsilnie rozkładają ręce, nie wiedząc jak sobie z nią radzić. W pewnym momencie pojawiła się inicjatywa by postawić tu muzeum połączone z klubem bluesowym, i tym przyciągnąć do siebie turystów, ale na razie pomysł utknął w martwym punkcie.

– Chcemy wypromować Bronzeville, jako kolebkę muzyki i kultury afroamerykańskiej – tłumaczy mi Harold L. Lucas, urodzony w Bronzeville siedemdziesięcioletni aktywista, przewodnik i dyrektor muzeum w którym pracuje Pat Fox – Ale także jako miejsce, które wyniosło Baraka Obamę na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niestety nie jest to łatwe.

Dzielnica do dziś zwana dystryktem bluesowym świeci pustkami. Co piąty budynek jest niezamieszkany, a puste parcele, które należą do miasta niechętnego ich sprzedaży, jeszcze długo pozostaną nieużytkami.

Powstają co prawda nowoczesne osiedla, a część zabytkowych kamienic z przełomu poprzedniego stulecia doczekała się gruntownych remontów, ale stać na nie tylko niewielką część mieszkańców.

Smutnym przykładem zmian w Bronzeville jest nieistniejący już teatr Regal, który mieścił się przy skrzyżowaniu 47 i Grand Boulevard. Swego czasu grywali tu najwięksi muzycy, w tym Louis Armstrong, Ella Fitzgerald, czy Duke Ellington. W przeciwieństwie do innych podobnych miejsc w mieście, zarządzany był w całości przez murzynów. I prosperował. Na archiwalnych zdjęciach widać długie kolejki ustawiające się na zewnątrz. W bogato strojonym wnętrzu, z puszystymi dywanami i wzorzystymi zasłonami, nocami bawiły się masy ludzi, a w dzień było tu też kino na trzy tysiące miejsc. Aż nagle, w latach 60, gdy ludzie zaczęli masowo wyjeżdżać z Bronzeville, teatr zamknięto, a niecałe dziesięć lat później, nie było już po nim śladu.

Wycieczki bluesowe

Jednym z ostatnich klubów po tej stronie miasta jest Lee's Unleaded Blues Club, mieszczący się raptem kilka kilometrów na południe od Bronzeville.

Małżeństwo Ray i Leola "Lee" Grey kupiło to miejsce w latach 80, gdy złoty okres bluesa w Bronzeville był już tylko wspomnieniem. Wspólnie stworzyli klub o niepowtarzalnym klimacie, z własną obsadą muzyków i stałymi bywalcami, którzy przyjeżdżali tu z każdej strony miasta, a nawet, jeśli wierzyć ich słowom, z tak odległych miejsc jak Japonia, czy Tajwan.

– Swego czasu byliśmy znani na całym świecie – mówił Ray kilka lat temu. – Ludzie wracali w swoje strony, a ich znajomi zazdrościli im tych wojaży po południu Chicago, i sami też tu zjeżdżali.

Początki tego miejsca sięgają lat sześćdziesiątych, gdy popularna wodzirejka Queen Bee otworzyła swój własny lokal, gdzie oprócz lejących się strumieniami trunków, grali też najlepsi muzycy bluesowi, wśród nich Muddy Waters i Buddy Guy. Nawet biali przyjeżdżali z północnych części miasta, by ich posłuchać. Queen Bee prowadziła jednak szalony tryb życia. Wydawała masę pieniędzy, na ciuchy, na alkohol, na podróże i samochody. I ciągle piła. Aż wreszcie w 1974 zmarła na zawał, w wieku 34 lat.

Od tamtej pory, aż do 1983, lokal stał pusty. Małżeństwo Grey odkupiło go od córki Queen Bee i pomału zdobywało serca nowych bywalców. Lee Grey, choć nie piła tyle co jej poprzedniczka, miała smykałkę do interesów. Gdy dookoła upadały kolejno wszystkie lokale bluesowe, Lee's Unleaded Blues trzymał się mocno.

W 2002 roku, po prawie 30 latach działalności, państwo Grey zdecydowali się sprzedać jednak swój klub i przejść na zasłużoną emeryturę.

– Mam 74 lat, przeżyłem zawał, teraz pora trochę odpocząć – tłumaczył Ray. – Trzeba wiedzieć kiedy odejść z podniesioną głową.

Po dziesięciu latach nowy właściciel, miejski policjant na emeryturze, zmuszony został na pewien czas zawiesić działalność i przeprowadzić gruntowne renowacje. Choć obiecał ponownie otworzyć drzwi na początku 2013 roku, do dzisiaj stoi zamknięty. Nieduży, z zewnątrz niepozorny klub do czasu zamknięcia utrzymywał się głównie z promowania nowych artystów i wycieczek, które przyjeżdżały tu autokarami z centrum miasta.

Moja znajoma wybrała się kiedyś na taką wyprawę śladami chicagowskiego bluesa. Jechali tak od miejsca do miejsca, biali turyści i pasjonaci muzyki, wsłuchując się w dolatujący z głośników ciepły głos narratora, który opowiadał im kolejną anegdotę, gdy w pewnym momencie autobus zatrzymał się z piskiem opon na środku ulicy. Ku niedowierzaniu pasażerów, którzy siedzieli jak skamieniali, raptem kilka przecznic dalej odgrywała się scena niczym z filmu gangsterskiego. W biały dzień strzelało do siebie kilku młodocianych chłopaków. Na chodniku leżały czyjeś zwłoki. W oddali słychać było echo syren radiowozów. Autokar czym prędzej zawrócił. Lekcja historia skończyła się przed czasem.

I choć wycieczki po dzielnicy bluesowej odbywają się nadal, nie są najpopularniejszą atrakcją turystyczną w mieście.

Muddy Waters' long dead

Piętrowy dom z oknami zabitymi płytą wiórową i drzwiami, które ledwo trzymają się we framudze, wygląda na zagubionego pośród świeżo wyremontowanych kamienic. Przy wejściu ktoś namalował różowe flamingi, ale i one wyblakły już i poszarzały. Cegła sypie się i kruszy, a metalowe rynny pod dachem lada chwila zwalą się na ziemię. Trawy na działce już nie ma, zamiast niej leży jakaś opona i stary fotel. Tylko wiszący nad oknem arkusz białego papieru z wielkim czerwonym X nadaje miejscu jakiegokolwiek kolorytu.

Na chodniku przed budynkiem stoi czworo ludzi, trzech młodych mężczyzn i kobieta. Kolejny przechodzi przez ulicę, wymachuje i mówi coś do nich, wreszcie zatrzymuje się i odchodzi w przeciwnym kierunku. Kobieta, z lekka chyba znudzona towarzystwem, kieruje się jego śladem. Staję obok, przy znaku, który opisuje to miejsce, i zaczynam czytać.

– Ta, tu mieszkał Muddy Waters – mówi jeden z mężczyzn, ni to do mnie, ni to do swoich znajomych.

– Wiesz, ten budynek może i wygląda żałośnie, ale chyba tak źle to z nim nie jest – wtóruje mu drugi.

– Gdzie tam... brudny, brzydki, wszystko rozniesli... a środek szlag trafił – przerywa mu pierwszy.

– Trochę farby, tynku. Pewnie jest coś wart – najmłodszy nie chce odstępować od reszty.

– Może i masz rację. Wystarczy włożyć w to trochę serca, nic więcej.

Budynek – jak wiele w tej okolicy – jest na miejskiej liście zabytków. Swego czasu Muddy Waters założył w nim studio, a na działce przed domem grywał całonocne koncerty. Przez dwadzieścia lat, sąsiedzi zamiast dzwonić na policję, schodzili się masowo i bawili wraz z nim. Tu spotykali się muzycy, by grać, pić i zabijać nudę.

Czasy się jednak zmieniły. Czerwone X na ścianie oznacza, że budynek jest dziś w rozsypce i nie nadaje się do użytku. Miasto miało dość skarg od mieszkańców dzielnicy, w których skarżyli się na zaniedbania, i złożyło odpowiednie dokumenty u konserwatora zabytków. Lada dzień zjadą się tu buldożery i koparki, i budynek przestanie istnieć.

– Ostatnio należał chyba do syna Muddy'ego, Larrego, ale sąd mu go zabrał, więc stoi taki nieużytek – kobieta, która odeszła już jakiś kawałek, wróciła zaintrygowana rozmową. – Mieszka tu w okolicy, widuję go nieraz.

– Kto, Muddy Waters? – zagabuje najmłodszy.

– Gówno prawda. Muddy Waters już dawno nie żyje.

Dziedzictwo

Czasy świetności bluesa chicagowskiego – tego z południa miasta, z ubogich murzyńskich dzielnic, którego melodie dodawały otuchy uciemiężonym potomkom migrantów z Południa – już nigdy nie wrócą. Większość klubów już dawno zniknęła, a te które grają do dzisiaj powynosiły się na północ miasta, tam gdzie więcej jest białych mieszkańców i turystów, a ich kieszenie są zasobniejsze.

Blues stał się przemysłem, maszynką do robienia pieniędzy, z charakterem, choć już bez duszy, jak twierdzi socjolog David Grazian, w swojej książce Niebieskie Chicago (Blue Chicago: The Search for Authenticity in Urban Blues Clubs, 2003). Kolejne lokale, to imitacje tego co było, obrazki do których przywykli ludzie z zewnątrz, ci niepamiętający czasów Czarnego Metropolis. Piosenki są do siebie łudząco podobne, i zamiast opowiadać o trudach życia artysty, po prostu wpadają w ucho swoją melodią i rytmem, pisze Grazian. Coraz mniej jest murzyńskich zespołów, a coraz więcej białych, które wplatają w utwory własne bardziej współczesne motywy. Widownia, dawniej składająca się głównie z czarnoskórych mieszkańców Chicago, dziś jest o przeważająco jasnej karnacji.

Stojąc na chodniku, przy 35-tej i Alei Martina Luthera Kinga, w samym centrum Bronzeville, aż trudno wyobrazić sobie, że kiedyś istniała tu tętniąca życiem scena muzyczna. Blues został stąd jakby wydarty, a blizny widać do dzisiaj.

– Robimy co tylko się da, żeby odmienić nasz los – mówi Harold Lucas. – Ale to co stało się z takimi miejscami jak Checkerboard Lounge, to wręcz kradzież naszego dziedzictwa kulturowego.

Klub o którym mówi, niecałe dwa lata po tym jak inspektor budowlany zaplombował drzwi, został przeniesiony kilka kilometrów dalej na teren kampusu Uniwersytetu Chicagowskiego, do jednej z najbogatszych dzielnic w mieście. W oczach niektórych była to akcja ratunkowa, dla innych, chęć łatwego zysku i mataczenie historii.

– To już nie to samo miejsce – żali się Lucas. – Brakuje mu klimatu i duszy.

Muzyka biednych murzyńskich robotników, dziś nazywana dorobkiem kulturowym miasta, zdaje się zapominać o swoich skromnych początkach, a tym bardziej o miejscach z których pochodzi. Choć minęło raptem pół wieku od czasów gdy okolica ta nazywana była jeszcze czarnym metropolis, dziś ostały się po niej tylko pojedyncze turystyczne plakietki, pomniki i place, które wręcz przygnębiają swoją pustotą.

Buddy Guy's Legends

Przy skrzyżowaniu Wabash Avenue i Balbo Street, raptem kilkaset metrów od centrum miasta, mieści się założony w 1989 roku klub bluesowy Buddy Guy's Legends. Jak sama nazwa wskazuje, ojcem tego przedsięwzięcia jest Buddy Guy, ostatni przedstawiciel i żywa legenda złotego okresu bluesa z Bronzeville. Ten wywodzący się z Luizjany muzyk o charakterystycznym głębokim głosie, mimo 76 lat na karku, ciągle aktywnie uczestniczy w życiu muzycznym i w jednym miesiącu potrafi udzielić nawet dwudziestu koncertów, z których każdy wyprzedaje się z kikutygodniowym wyprzedzeniem.

W zestawieniu magazynu Rolling Stone na najlepszych gitarzystów wszech czasów, Buddy Guy uplasował się na 23 miejscu. W 2005 roku, przy okazji nominacji Guy'a do Rock and Roll Hall of Fame, w przemowie gratulacyjnej Eric Clapton nie omieszkał wspomnieć jak wielki wpływ na jego własny styl miał talent tego muzyka. Do jego najzagorzalszych fanów należą też członkowie Rolling Stones i nieżyjący już legendarny gitarzysta Jimi Hendrix. W swej półwiecznej karierze, zdobył sześć statuetek Grammy i ponad dwadzieścia W.C. Handy Blues Awards, zwanych potocznie bluesowymi oskarami, najwięcej ze wszystkich nominowanych artystów. W 2003 roku prezydent George W. Bush odznaczył go Narodowym Medalem Sztuki za zasługi dla rynku muzycznego. Jego autorytet jest niepodważalny, a styl i poświęcenie jakie wkłada w granie, przykładem dla kolejnych pokoleń adeptów melodyjnej gry na gitarze elektrycznej.

Choć ostatnio nie grywa w swoim klubie zbyt często, na początku roku Buddy Guy zagościł tu na dłużej. Przez cztery dni w tygodniu dawał koncerty przy pełnej widowni i akompaniamencie innych muzyków, tak młodych i starszych, mniej i bardziej znanych.

Na trzystu miłośników bluesa zebranych w lokalu, może dwudziestu było czarnoskórych. Większość stanowiły pary w podeszłym wieku i grupki znajomych, ale było też sporo młodych ludzi. Mężczyźni pochłaniali alkohol niczym wodę, kobiety raz po raz zaglądały do łazienki, by przypudrować nos i plotkować przed lustrem. Brakło tylko tak charakterystycznego dymu tytoniowego unoszącego się pod sam sufit.

W przerwach między piosenkami, Buddy Guy opowiadał historie i żartował sobie z widownią. Przekomarzał z członkami orkiestry i przerywał granie, bo a to gitarę miał niedostrojoną, a to musiał napić się wody. Ale nie zawiódł. Porwał głosem widownię, która znała wszystkie jego utwory na pamięć, i trącał struny jak gdyby jego palce zapomniały ile ma lat.

– O nie, nie chodziłem na lekcje do żadnej tam szkoły. Gry na gitarze, wszystkiego co umiem, nauczyłem się na ulicy.

Na koniec, nim publiczność skierowała się do drzwi, Buddy Guy zaprosił jeszcze na scenę młodego gitarzystę Quinna Sullivana. Mimo stosunkowo późnej pory, ten trzynastoletni chłopak bez trudu wygrywał na gitarze swoje sekwencje, a także, na życzenie publiczności, znane kawałki Erica Claptona i Jimiego Hendrixa.

– Ten chłopak to przyszłość. Talent czystej wody – zachwycał się nim starszy od niego o ponad 60 lat gwiazdor wieczoru.

Kilka dni później Pat Fox spoglądała sentymentalnie przez okno swojego muzeum w kierunku niewidocznego stamtąd Buddy Guy's Legends.

– Gdy Buddy Guy przejdzie na emeryturę, to miejsce pewnie zamkną na zawsze. To będzie koniec pewnej epoki. Bez niego blues nie będzie ten sam – powiedziała.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

zar mar, dodano 06.02.2013 15:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.